

Władysław Sulecki

CZARNA OWCA Z WILCZYM BILETEM

„Ta czarna owca to zgnoi nasz zakład. Może go wypchnąć na wcześniejszą rentę...? Albo za granicę...? Żyje w mieszanym małżeństwie, to niech jedzie z żoną do niemieckiego raju!” – debatowano tak nade mną w kręgach esbecko-partyjnych. Wiedzieli, że mam żonę pochodzenia niemieckiego, i chcieli to wykorzystać. Żeby przyspieszyć moją decyzję, szykanowano nie tylko mnie, ale także moją rodzinę na różne sposoby – bezwzględne i brutalne.

Teściową, która niedawno wróciła z Niemiec z odwiedzin u rodziny, namawiali, żeby pojechała z córką, to znaczy z moją żoną, na stałe na Zachód. „Sulecki jest wierzący, to się nie rozwiedzie i pojedzie też” – kombinowali. A na głos mówili: „Gdzież to córka pani miała oczy? Jak mogła sobie wziąć takiego nieroba?”

Starszą córkę wyrzucono ze szkoły, z dziewiątej klasy liceum ogólnokształcącego w Gliwicach, młodszych dwóch dziewczynek też nie oszczędzano; przychodziły nieraz z płaczem ze szkoły do domu.

Sulecki kradnie drut i słupki...

Z ulicy, przy której mieszkałem, wezwali wszystkich mieszkańców do SB, potem do prokuratora. Prowadzono z nimi rozmowy, mające ich skłonić do obciążających mnie zeznań. Można mniej więcej wyliczyć, ilu ludzi zaangażowano w tę akcję. Przy ulicy było sto czterdzieści numerów, czyli tyleż domów, razy cztery rodziny w domu, to jest pięćset sześćdziesiąt rodzin, razy przeciętnie czterech członków rodziny, to jest dwa tysiące dwustu czterdziestu mieszkańców! Ażebym nakłonić ludzi do fałszywych zeznań, mówiono komuś na przykład: „Widzi pan, my wiemy, pan jest kierowcą na budowie i kradnie benzynę, mamy w tej sprawie doniesienia z milicji. My to panu umorzemy, ale proszę podpisać oświadczenie, że Sulecki kradnie drut i słupki do ogródka na płot. I że niemoralnie się prowadzi razem z całą rodziną”. Podobno ludzie różnie reagowali. Mnie mówili niektórzy, że nie podpisali, inni mówili SB, że mnie w ogóle nie znają, więc nie mogą niczego podpisać. Ale tutaj trudno coś stwierdzić pewnego, bo nie wszyscy, oczywiście, chcieli ze mną rozmawiać. Wzięli też wtedy żonę z córką na przesłuchanie, ale do dziś nie wiem, o co je pytali.

Były to głównie lata 1978–1979. O nich chciałbym opowiedzieć najpierw, ponieważ poprzedziły bezpośrednio mój wyjazd z kraju. Niestety, notatki, jakie miałem, zginęły mi już tutaj w Niemczech, muszę więc wszystko przywoływać z pamięci.

Przyczyną tych wszystkich szykan władzy była moja postawa i działalność niezależna od władzy; ta najnowsza to współpraca z KOR, założenie Wolnych Związków Zawodowych na Śląsku i współpraca z redakcją „Robotnika” i Radiem Wolna Europa. Ale mój opór znany im był już od lat. Chcieli zmusić mnie albo do zaprzestania mojej działalności i zmiany poglądów, albo – jak w ostatnich latach życia w Polsce – do opuszczenia kraju. Ja natomiast chciałem działać w zgodzie z własnym sumieniem. Nie byłem w mojej aktywności całkiem

osamotniony, widziałem, czułem jej głęboki sens, widziałem odwagę i poświęcenie innych – to też dodawało sił. Jednak na każdy mój krok oni odpowiadali kilkoma.

Jak się ta epopeja zaczęła? Muszę jeszcze wrócić do czasów wcześniejszych, żeby wydarzenia ostatnich lat stały się zrozumiałe.

Wstań i jedź!

Pracowałem na ścianie w kopalni „Zabrze Wschód”. Byłem kandydatem na członka PZPR. Był rok pięćdziesiąty szósty, znamienny w powojennej historii kraju. Górnicy gadali o różnych sprawach. Coraz powtarzali, że polską inteligencję wymordowali w Katyniu Niemcy, natomiast ja wiedziałem z domu rodzinnego, że zrobiło to NKWD. Tak też im powiedziałem. Jak to dotarło wyżej, to najpierw kazano mi się zgłosić do sekretarza partii, Szumilasa, a stamtąd zawieziono mnie od razu do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, gdzie mnie pytano, a skąd to niby wiem, że NKWD wymordowało polską inteligencję. Odpowiedziałem, że od matki, że takie były docierające do niej listowne wiadomości przed wywiezieniem krewnych do Ostaszkowa. Kazano mi jednak podpisać, że to zrobili Niemcy, a gdy dalej się upierałem przy NKWD, zamknięto mnie na czterdzieści osiem godzin. I zaraz potem znów na dwadzieścia cztery. Poszedłem do pracy, a tam była już karteczka do mnie; kazano mi zgłosić się do dyrektora kopalni „Zabrze Wschód”. Dyrektor powiedział, że to nie on mnie zwalnia, tylko partia, komitet zakładowy. Pracowałem tam jeszcze dwa tygodnie, ale na powierzchni, przy rozładowywaniu wagonów. Było piekielnie zimno, chyba z minus piętnaście stopni Celsjusza. Szły święta Bożego Narodzenia [1959 r.], w domu pierwsze dziecko dopiero co przyszło na świat, my krótko po ślubie, a tu nie ma za co żyć...

Spróbowałem znaleźć coś w kopalni „Gliwice”, ale zamiast pójść do komitetu zakładowego po zgodę, jak powinienem, poszedłem do przedwojennego jeszcze inżyniera Hibnera, opowiedziałem mu wszystko, to znaczy, dlaczego zwolniono mnie z poprzedniej kopalni. I przyjął mnie do pracy.

W sześćdziesiątym roku, dwudziestego czwartego czerwca, wróciłem z nocnej zmiany i żona powiedziała mi, że na Hutniczej stoi pełno wozów milicyjnych i mnóstwo ludzi pod kościołem. Szło o wbudowany krzyż pod budowę nowego kościoła; milicja i zwiezieni na miejsce robotnicy chcieli krzyż usunąć, mieszkańcy z ojcem Hilarym bronili go. Włączyłem się w akcję obrony krzyża. Apelowałem do ludzi, żeby krzyża bronili, a do robotników, żeby go nie ruszali. I chociaż krzyż w końcu wykopano, to protestowaliśmy głośno, a ja napisałem w zakrystii na kartce apel: „Żądamy wolności Kościoła w Polsce!”. I przyniosłem go na plac.

Później, już po wszystkim, zde gustowany szedłem w kierunku Politechniki Gliwickiej, gdy zatrzymała mnie i aresztowała milicja. Zostałem oskarżony o rozgłaszanie hasła w rodzaju: „Precz z komunizmem!”. Ale oskarżenia tego nie dało się mimo fałszywych zeznań milicjantów utrzymać. A za głoszenie hasła domagającego się wolności Kościoła otrzymałem dwa miesiące więzienia, które spędziłem w więzieniu w Zabrze, przy ulicy Sądowej 1.

Odtąd też wszystkie dni 1 maja i 22 lipca spędzałem w areszcie.

Po wyjściu i zgłoszeniu się ponownie w kopalni „Gliwice” do pracy musiałem za karę przez rok zbierać papierki na jej terenie. Miałem wtedy dwadzieścia dziewięć lat, córkę i niedawno założyłem rodzinę.

W roku Tysiąclecia Chrztu Polskiego, które Kościół obchodził specjalnie uroczystie, a Gomułka rzucił przekornie hasło: „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”, postanowiłem jako człowiek wierzący przyłączyć się do kościelnych uroczystości. Kupiłem satynę i z jednej strony

wymalowałem farbą olejną orła piastowskiego z koroną, a z drugiej poniżej krzyża i napisu „966–1966” hasło: „1000 lat chrześcijaństwa Polski”. Chciałem pojechać z tym sztandarem, który miałem gotowy już w marcu, do Częstochowy, na Jasną Górę, na centralne uroczystości, żeby go przekazać Kościołowi.

Załatwiłem sobie kilka dni urlopu, ale wahałem się jeszcze. Wreszcie w nocy z pierwszego na drugiego maja poczułem zimno, było gdzieś koło wpół do czwartej nad ranem. Obudziłem się i coś mi powiedziało bardzo głośno i wyraźnie (był to naprawdę potężny głos): „Wstań i jedź!”. Ubrałem się więc, włożyłem garnitur, krawat, powiedziałem żonie, żeby mi zrobiła kanapki, i pojechałem do Częstochowy.

Tego samego dnia jeszcze o ósmej rano przyjechał pod dom w Gliwicach radiowóz. Pytali żonę, gdzie jestem, chcieli też, żeby im powiedziała, gdzie nocuję. Tego jednak nie wiedziała, a ja spędziłem tam pięć dni w klasztorze. Tymczasem ruskie wojsko, dowód zaniepokojenia władzy, stało po okolicznych lasach. Pociągi przejeżdżające przez Częstochowę zatrzymywały się wtedy albo parę kilometrów przed miastem, albo za nim.

Po powrocie bezpieka wezwała mnie na przesłuchanie na Dworcową w Gliwicach do wydziału do spraw wyznań. Pytano mnie, jak śmiałem posługiwać się publicznie symbolem krzyża, kto mnie do tego upoważnił. I do publicznego wystąpienia.

W siedemdziesiątym piątym roku wezwano mnie na Balickiego w Gliwicach, do szefa Służby Bezpieczeństwa. Chciał on, żebym się pisemnie zobowiązał, iż nie nawiążę kontaktu z opozycją w Warszawie, z intelektualistami.

- A jest na to jakiś paragraf? – zapytałem.
- Właściwie to nie ma – usłyszałem.
- To nie podpiszę – odrzekłem.

I na tym się na razie skończyło.

Trzynastego czerwca siedemdziesiątego szóstego roku natomiast, czyli rok później, jakby na urągowisko, jak się później okazało, ich intencji wezwania mnie wcześniej na Balickiego, zapytano mnie w WKR w Gliwicach, czy nie chciałbym pójść do wojska. Urodzony w trzydziestym pierwszym roku, miałem wtedy czterdzieści pięć lat, ale powiedziałem, że jeśli jest potrzeba, czemu nie. Tydzień później dostałem wezwanie na trzy miesiące do kompanii czołgów w Sulęcinie. Byli tam między innymi: studenci, lekarze, aptekarze z całego kraju, na terenie obozu byli też żołnierze z NRD, Czechosłowacji i Związku Sowieckiego. I podczas gdy inni szli w wolnym czasie na filmy pornograficzne czy inne, grupa ludzi o odmiennych zainteresowaniach, w tym i ja, zbierała się, by mówić o ważniejszych sprawach. Dowiedziałem się wtedy o faktycznych przyczynach niepokojów w Radomiu, o strajkach w Szczecinie, o zwolnionych tam z pracy ludziach. Proszono mnie, żebym jako mniej niż oni znany esbecji pojechał do Warszawy, nawiązał kontakt z opozycją i powiedział jej to, czego się w Sulęcinie dowiedziałem.

Druga strona tymczasem, jeszcze w trakcie obozu wojskowego, też nie zasypiała gruszek w popiele. Wezwali mnie do sztabu, żebym podpisał oświadczenie, że uczestnicy wystąpienia w Radomiu i w Ursusie to warchoły. Obiecywali, że jak to uczynię, pošlę mnie do specjalnego partyjnego Technikum Górniczego w Bytomiu. Oczywiście, odmówiłem.

Poszedłem do klasztoru

W kopalni „Gliwice” pytali mnie po powrocie, jak było... na wczasach. Odpowiedziałem, że nudno, że wywieźli nas gdzieś w pole, w lasy i nie było co robić. A przy pierwszej okazji pojechałem do Warszawy. Nie wiedziałem jednak, jak skontaktować się z opozycją, gdzie jej

szukać. Poszedłem do klasztoru, tam rozmawiałem z siostrą, która zawołała księdza. Opowiedziałem mu między innymi o zwolnionych z pracy ludziach w Szczecinie, o rozmowach w wojsku, a ten wysłuchawszy moich słów, skierował mnie do księdza Ziei. Stamtąd już droga do opozycji, do KOR, była prosta.

W styczniu siedemdziesiątego siódmego, po trzech dniach pobytu w Warszawie, wróciłem „Górnikiem” do Gliwic. W domu siedział już wysoki blondyn, porucznik SB, Ryszkiewicz.

– Gdzie i u kogo pan był w Warszawie? – indagował.

– A skąd pan może wiedzieć, że byłem w Warszawie? – zdziwiłem się.

On pogrzebał w swojej teczce, coś tam wyszukał, czego mi nie pokazał, i stwierdził na pół pytająco:

– A z Barańczakiem pan się widział?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyłem. Nic na razie nie mogli mi zrobić. Tak myślałem.

Czwartego maja, czyli kilka miesięcy później, przyszedł esbek do mieszkania i zażądał pokazania dowodu osobistego. A było tak, że żona zamieniła się z sąsiadką mieszkaniami. Myśmy z górnego piętra przeprowadzili się na jej miejsce niżej, bo dziewczynki często spadały ze schodów, chodziły potłuczone. Zgłosiliśmy to w administracji mieszkań, ale w dowodach osobistych zostało po starym. Jak esbek zobaczył, że adres się nie zgadza, zażądał, żebym natychmiast opuścił mieszkanie, w którym byłem. A gdy odmówiłem, zapytał jeszcze, czy nie będę uciekał, i upewniwszy się, że nie, zapowiedział, że za pół godziny będzie z powrotem.

W zapowiedzianym czasie pojawiło się dwóch milicjantów i znany porucznik Ryszkiewicz. Jeden z milicjantów zapytał mnie:

– To co, panie hrabio Sulecki, ignoruje pan nasze polecenia? Proszę się ubierać!

Ponieważ podlewałem w ogródku kwiatki, poszedłem do mieszkania, umyłem się, wytarłem, ubrałem. Cały czas stało za mną dwóch milicjantów. Przy wyjściu z kuchni do sieni była framuga. Jak mnie złapali za ręce obydwoj i potrząsnęli mną, uderzając o framugę, to od razu straciłem przytomność. Odzyskałem ją, jak mnie złapali za włosy i ciągnęli po schodach do radiowozu. Sąsiedzi, widząc to i wrzeszczącą wniebogłosy córkę Grażynkę, wołali do tych zbirów:

– Panowie, puśćcie go, bo dziecko zawału dostanie!

Na co jeden z nich odkrzyknął:

– Dziecko na bok odrzucić!

Znalazłem się znów w SB na Balickiego. Stamtąd zawieziono mnie na pogotowie, ale lekarka po rozmowie z esbekiem zamiast mnie badać, próbowała się dowiedzieć, po co byłem w Warszawie. W końcu dała mi skierowanie do szpitala miejskiego przy ulicy Kościuszki. A tam zrobiono mi prześwietlenie, którego do ręki nie dostałem. Poszedłem do kopalnianej przychodni, gdzie czterech lekarzy wypytywało mnie znowu o powody pobytu w Warszawie. Dali mi trzy dni zwolnienia – i to wszystkim. Jeszcze kierowniczka przychodni skierowała mnie do okulisty, na szczęście oczy były w porządku.

Zwolnienia z pracy, dłuższego, nie dostałem, do roboty iść nie mogłem, bo bolało jak diabli, nawet z łóżka wstać nie potrafiłem. Co robić?

Na szczęście przyjechał znajomy, Śreniowski. Usłyszawszy, co się stało, dał mi pieniądze, zrobiłem prywatnie prześwietlenie i pojechałem do Warszawy, gdzie udałem się do specjalistów. Ci jednak nie bardzo chcieli mnie badać, mówili, że im nie wolno. Wtedy powiedziałem, że w kopalnianym ośrodku zdrowia, do którego mnie odsyłali, zamiast leczyć, próbują mnie przesłuchiwać. Że tam nie pójdę i tu proszę o udzielenie pomocy. Lekarze stwierdzili

złamanie chrząstki szóstego żebra i dali zwolnienie z pracy, które oddałem w górniczej przychodni. Tam aż się trzęśli ze złości, niemniej leczyłem się przez dwa miesiące, a potem pojechałem do sanatorium do Kołobrzegu.

Szedłem raz z zabiegów, a tu nagle stanął przed mną porucznik Ryszkiewicz i jakby nigdy nic zaproponował, żebyśmy się napili.

– Idziemy na kawusień? – zapytał. – Może się czegoś napijemy?

Wiedziałem od ludzi z kopalni, że planują mnie upić, zrobić spotkanie w hotelu z pierśmiastymi kobietami, żeby potem móc stwierdzić, że Sulecki niemoralnie się prowadzi. I żeby zdjęcie z taką kobietą wysłać na przykład do KOR. I tak bym się z nim nie napił, nawet gdybym nie wiedział, jakie mają plany. Wtedy natomiast pomyślałem, że na kawę mogę pójść.

W kawiarni Ryszkiewicz zaczął obiecywać: że jak się dogadamy, to wyrównają mi wynikające z nieobecności (wskutek aresztowań) straty z Karty Górnika (około 2000 złotych), że dostanę niewypłaconą trzynastkę i czternastkę (około 3000 złotych), że nadpłacą utracone s-ki (dwie w miesiącu, znów pieniądze), że weźmie nas swoim autem na wczasy MSW, że załatwi mieszkanie w nowym budownictwie.

– A pan, panie Władysławie, weźmie tylko mojego kolegę do Warszawy i powie w KOR, że on jest górnikiem. Tylko tyle chcemy od pana. A my pošlemy pana do Technikum Górniczego w Bytomiu. Zamiast w pięć lat, jak normalnie, ukończy pan je w osiemnaście miesięcy. Będzie pan chodził sobie w hełmie po kopalni i rozporządzał ludźmi. Pan nie jest złym człowiekiem, tylko źle został pokierowany.

We mnie się aż zagotowało, wstałem i powiedziałem:

– A ja z panem w ogóle nie chcę rozmawiać i ochłapy z tego stołu mnie nie interesują.

Był rozczarowany:

– To co, nie idzie się pan napić...?

Idź no do Suleckiego...

Z Kazimierzem Świtoniem założyliśmy 23 lutego siedemdziesiątego ósmego roku Wolne Związki Zawodowe. On się dowiedział o mnie z Radia Wolna Europa i jakoś mnie odnalazł. Potem rozprawdziliśmy deklaracje członkowskie po zakładzie. Były one wszędzie, na każdym biurku. Partyjniacy się wściekali. Wtedy to zostałem czarną owcą. Mówili na zebraniach oddziałowych, że jak tylko taki drugi się znajdzie jak ja, to będą ugotowani. „Tylko żeby im – mówili – (to znaczy takim jak ja) na to nie pozwolić”. Nawet partyjniacy przychodzili do mnie i powtarzali, co o mnie mówiono.

W oddziale XII kopalni „Gliwice”, w którym pracowałem, wykonano sto dwadzieścia procent planowych zadań, ale pod koniec kwartału ogłoszono, że było to tylko dziewięćdziesiąt procent. Wtedy ludzie przyszli do mnie się poskarżyć. Powiedziałem im, żeby poszli do rady zakładowej i do dyrektora. A ten wrzasnął na nich:

– Robić wam się nie chce! Jak będziecie robić na okrągło, to i zarobicie!

A to bardzo ciężka praca i trzeba się było porządnie łopatać namachać. Ludzie mieli łzy w oczach. Prosił, że jak jestem w tych Wolnych Związkach Zawodowych, w Komitecie Robotniczym, żebym coś o tym napisał. Zrobiłem wtedy notatkę i pošłem do redakcji „Robotnika” w Warszawie. Studenci przywieźli mi potem około tysiąca egzemplarzy, które w pięć osób rozdaliśmy ludziom do aut przy przewozach robotniczych. Czytano je w zakładzie wszędzie.

W rezultacie za tydzień przyszło do mnie pismo z kopalni, z którego wynikało, że dyrektor bardzo przeprasza i że górnikom zostanie wszystko, co im się należy, wypłacone...

Bezpieka aresztowała mnie jednak z miejsca i zaczęła mnie wałkować. A napisałem przecież tylko, ile trzeba się narobić, żeby plan wykonać, i że nie wolno samowolnie zabierać zasłużonego zarobku. Niektórzy esbecy to nawet rozumieli, bo sami pochodzili z robotników.

Nawet taki ormowiec, Ślusarczyk, mówił komuś: „Idźcie no do Suleckiego, on ma dobre czasopisma o robotnikach. Przynieście też i mnie, to wam załatwię dobre wydobycie i dobry zarobek na ścianie!”. Tak... Górnicy mi to powtarzali. A z drugiej strony szykany szły dalej, szafki z czystymi ubraniami zalewali mi cementem, kłódki nie mogłem otworzyć, bo grzebali i psuli. Esbeki włamywali mi się do szafek, a straż przemysłowa pilnowała, żeby nikt w tym czasie nie wszedł do szatni.

Innym razem zdarzyła się następująca historia. Ludzie wyjeżdżali po pracy windą z dołu po sześćdziesięciu do siedemdziesięciu górników naraz. Natomiast kabina prysznicowa o rozmiarach cztery na cztery metry nie mogła tylu górników pomieścić, szli więc ludzie do domu brudni. Napisałem wtedy do inżyniera Nosala, który był opiekunem XII oddziału, że to niemożliwe, żeby ludzie na wpół brudni jechali do domu, że trzeba by kabiny prysznicowe rozbudować. Zareagował z niechęcią, wziął kartkę i długopis i tłumaczył mi jak nie wiem komu, że pod jednym prysznicem może się umyć piętnastu ludzi. Nie można było się dogadać w żaden sposób, napisałem znów do „Robotnika”, znów porozdawaliśmy egzemplarze wśród ludzi. I znów z mety się zmieniło, bo zaraz zabrali się do roboty i do poszerzania kabin. Ludzie się wtedy zaśmiewali:

– Sulecki, to dla ciebie poszerzają te kabiny, bo się już w nich nie mieścisz.

W tymże siedemdziesiątym ósmym roku ludzie strajkowali z powodu niskich zarobków. Wtedy sztygarzy prosili już górników:

– Idźcie, ludzie, do roboty, na miłość boską, bo jutro znowu Wolna Europa będzie o nas gadała. A jest tu gdzie Sulecki? – pytali, w obawie, że znów coś napiszę.

Czasami podawano mi zmyślane informacje o strajkach w innych kopalniach, żeby mnie sprowokować do wysłania fałszywych wiadomości i podkopać w ten sposób moją wiarygodność, nie dawałem się jednak nabrać, bo zawsze sprawdzałem takie doniesienia.

Efekty tej działalności były dobre, ale ja znalazłem się w opałach. Szykanowanie mnie i rodziny trwało konsekwentnie dalej, bo wprost za ochronę robotników nie można było mnie ukarać. Prokurator wydała nakaz rewizji w domu, ponieważ córka moja włamała się rzekomo do jubilera, ukradła złoto i biżuterię, a w prywatnym mieszkaniu – magnetofon. Ale jak przyszli, to nie kontrolowali córki i jej rzeczy, tylko moje brali. Poszedłem wtedy do prokurator Hofman i zapytałem, co to znaczy. Powiedziała, że przyszła do niej milicja i zażądała wydania nakazu przeszukania mieszkania.

Co ty sobie wyobrażasz?!

W czerwcu siedemdziesiątego ósmego wyszedłem do domu z mieszkania Andrzeja Spyrzy przy ulicy Pszczyńskiej i gdzieś około drugiej w nocy zbliżałem się do naszej ulicy, a tam już auta stały, wyskoczyli z nich, złapali mnie pod rękę, a któryś tam walił ciosem karate. To ich pociągnąłem do sieni, tam stało puste wiadro, przewróciło się, narobiło hałasu, wybiegła córka z mieszkania i poznała tego, który był na rewizji. Mówiła, że już od dziewiętej wieczorem czekali.

Kiedyś jechałem do Świtonia, mając ze sobą ze sto osiemdziesiąt egzemplarzy „Robotnika”. Otworzyła mi Basia i powiedziała, że mają rewizję, to ja dyla na dół po schodach, ale złapali mnie i na czterdzieści osiem godzin zamknęli i pobili. Pomyślałem wtedy, że muszę to pomścić.

Za jakieś dwa tygodnie wziąłem taką torbę, w jakiej górnicy klocek¹ noszą. Przyjechałem do Katowic, ale nie poszedłem do Świtonia, tylko zrobiłem kilka pętli wokół budynków, poszedłem do rożna, gdzie smażono kurczaki, kielbasy. Z kubłów nabrałem odpadków kurzych, jakieś skóry, gnaty, żyły. Zawinałem to w papier, włożyłem do kartonów i – do torby. Torbę na plecy i poszedłem w kierunku dworca na osobowy lokalny o czternastej czternaście z Katowic do Gliwic. Był to taki podmiejski pociąg. Już nogę wstawiałem do przedziału, a tu podeszło dwóch panów w cywilu:

– Panie Sulecki, jest pan aresztowany do wyjaśnienia. Chodzi o zawartość pańskiej teczki, musimy to sprawdzić – poinformowali mnie. I dodali: – Idziemy na komisariat.

Doszło jeszcze trzech milicjantów i w takiej eskorcie przyszedliśmy na komendę.

– Proszę pokazać zawartość teczki!

Położyłem ją na stole. Otworzyli kartony, odwinęli gazetę i... wszystko się wywaliło na biurko: flaki, gnaty, ogryzki kielbas. Patrzyłem na to, a jeden do drugiego powiedział:

– Ale nas w... zrobił! – I zwrócił się do mnie: – Jak długo jeszcze będziemy się z tobą, ty sk..., męczyć?! Co ty sobie wyobrażasz?!

– Panowie, czy ja was tu przyprowadziłem, czy wy mnie aresztowaliście? – zapytałem niewinnie. I wyjaśniłem, jakby tego nie wiedzieli: – Teczka należy do mnie i mogę w niej mieć, co chcę.

Zawinęli mi to wszystko w papier i kazali mi sp...ać, co bez oporu uczyniłem.

Niedługo potem żona wstała rano, spojrzała, a tu okna niewidzialną ręką pomalowane, jedna strona na czerwono, a druga – na biało.

– Co to ma znaczyć? – dziwili się najpierw sąsiedzi. A potem, jakby nagle oświeceni, wiedząc przecież, o co chodzi, mówili do żony: – Niech mąż skończy z KOR, ze związkami zawodowymi, to tego domu nikt nie ruszy.

– Niech pani na niego wpłynie, pani jest sympatyczna – mówił też esbek Ryszkiewicz – Wrócimy mu s-ki, dostanie trzynastkę i czternastkę, weźmiemy was na wczasy MSW, córkę przyjmiemy do ogólniaka, skończy naukę, pójdzie na studia, będziecie żyć jak ludzie – kusił znowu.

– A co trzeba zrobić, żeby się to spełniło? – pytałem znów niby naiwnie.

– Już panu wyjaśnię – mówił. – Pan tylko tu podpisze, o, że pan wystąpi z KOR i z Wolnych Związków Zawodowych.

A ja na to wyciągnąłem materiały z Niezależnej Oficyny, gdzie były teksty o prawie do wolności słowa, do stowarzyszeń, międzynarodowe układy z Belgradu, z Helsinek. Nic już nie odrzekł.

Miałem się jeszcze nieraz przekonać, że ich repertuar jest bardzo rozległy, jeśli chcą kogoś skompromitować, zniszczyć jego wiarygodność. Oto byłem pod szybem, gdzie przed zjazdem na dół zbiera się najwięcej ludzi. Nagle usłyszałem z daleka:

– Władziu, twoja córka musi za mąż wyjść, co!? – zaśmiewał się gromko taki jeden. A wszyscy nadstawiali już uszu, co dalej nastąpi.

– A dlaczego? – spytałem.

– Bo się sku...ła! Bo się sku...ła! – śmiał się dalej na cały głos. Paru rechotało razem z nim.

Zmilczałem. Zjechaliśmy, byłem na dole – za karę za coś tam dostałem specjalne zajęcie. Musiałem łopatą wybierać wodę z dna między podkładami torów kolejki.

¹ Drewno ze stempli do palenia w piecu.

Kiedyś było wybicie prądu na oddziałach sąsiednim i naszym, to siedzieliśmy i rozmawialiśmy o Wolnych Związkach Zawodowych, o KOR. A jak wyjechałem do góry, od razu wzięli mnie do auta i na Kościelną w Gliwicach.

Ileż to razy zamykano mnie bezprawnie i bito. Kiedyś w Wodzisławiu tak mnie skatowano, że ich wrzaski: „My ci wybijemy z głowy Wolne Związki Zawodowe!” słyszałem wtedy zamroczony biciem jakby przez sen.

Po zwolnieniu z aresztu usłyszałem, że Bolka Cygana wzięli po pracy spod domu, skrupowali, przyłożyli chusteczkę z czymś do ust, a gdy się przewrócił, wzięli do auta, zawieźli do lasu, tam położyli twarzą do ziemi i pałami bili po plecach i nogach tak, że nie mógł wstać. Gdy się o tym dowiedziałem, pojechaliśmy razem ze Świtoniem do niego do szpitala w Wodzisławiu. Siostra przywiozła go na wózku; wszyscy nas obserwowali. Plecy miał czarne od pobicia jak sadza. Zrobiłem wtedy notatkę i przekazałem do redakcji „Robotnika”. Potem stale już miałem rewizje, dwa, trzy razy w tygodniu.

Rewizje, aresztowania, pobicia, niszczenie i opluwanie wszystkiego, co było dla mnie ważne – to była ich broń przeciwko mnie. Jeszcze tuż przed wyjazdem zamknęli mnie w Wodzisławiu na czterdzieści osiem godzin. Wyszedłem wtedy od Bolka Cygana, do przystanku odprowadzało mnie dziecko sześćoiletne (dziecko jego córki), aż tu nagle zajechał radiowóz milicyjny i: „Sulecki, na komendę!”. Mnie trzymali czterdzieści osiem godzin, a dziecko odwieźli potem matce. Wtedy zastrajkowałem i nie wzięłem przez cały czas pokar-

Władysław Sulecki – ur. 17 stycznia 1931 r. w Dobrzejewicach k. Lipna, zm. 16 grudnia 2004 r. w Hagen w Niemczech. W czasie II wojny światowej jako kilkunastoletni chłopak uczestniczył w ruchu oporu na północnym Mazowszu. Na początku lat 50. przyjechał na Górny Śląsk. W latach 1955–1956 służył jako funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej w Łabędach. Zwolniono go dyscyplinarnie za rzekome przywłaszczenia depozytów aresztantów, w rzeczywistości powodem zwolnienia była przede wszystkim głęboka religijność Suleckiego. Podjął pracę jako górnik: początkowo w kopalni „Zabrze Wschód” w Zabrzu, następnie w gliwickiej KWK „Gliwice”. 24 czerwca 1960 r. w Gliwicach doszło do demonstracji ulicznej w obronie krzyża ustawionego wcześniej przez parafian kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Krzyż wmurowany był na terenie przykościelnego placu, gdzie planowano wybudować nową świątynię. Władze usunęły go jako obiekt postawiony bez ich zgody. Sulecki był wtedy wśród najbardziej aktywnych uczestników zaisc. W jednym z zachowanych dokumentów czytamy, że „przesłuchani świadkowie zgodnie zeznają, że Wł. Sulecki mimo wezwania go do opuszczenia zbiegowiska, nie tylko, że zbiegowiska nie opuścił, ale zebrał wokół siebie grupę ludzi, którą namawiał do nieopuszczania zbiegowiska czytając im na poparcie swego stanowiska art. 70 Konstytucji, a także kartkę o treści »żądamy wolności Kościoła« i rzucił ją w pobliżu kościoła. Do powyższego Wł. Sulecki przyznał się”. Postanowieniem prokuratury w Zabrzu został zatrzymany. W areszcie spędził prawie dwa miesiące. W późniejszym okresie kilkakrotnie próbował nawiązać kontakt z Radiem Wolna Europa oraz środowiskami polskiej emigracji politycznej na Zachodzie. Chciał przekazać informacje dotyczące prześladowania Kościoła w PRL, braku swobód obywatelskich i ciężkiej sytuacji socjalnej robotników, zwłaszcza górników. Próbował również

kolportować w Gliwicach literaturę religijną. Swoją aktywnością zwrócił na siebie uwagę SB, w której zainteresowaniu stale już pozostawał. W 1976 r. jego nazwisko znalazło się na liście osób, które z różnych powodów uznano za niepewne politycznie. Wszystkie osoby z listy w okresie przeprowadzenia planowanej przez władze „operacji cenowej” miały zostać powołane na specjalne „ćwiczenia wojskowe”. Był to rodzaj prewencyjnego odosobnienia potencjalnych liderów strajków czy demonstracji. Po powstaniu Komitetu Obrony Robotników nawiązał kontakt z jego działaczami. Jako współpracownik KOR kolportował w województwie katowickim niezależne pisma i wydawnictwa, co nasiliło represje wobec niego. M.in. 4 maja 1977 r. został pobity do nieprzytomności i wywleczony przez funkcjonariuszy z mieszkania. Po rozpoczęciu wydawania we wrześniu 1977 r. dwutygodnika „Robotnik” przeznaczanego dla czytelników ze środowisk robotniczych znalazł się w jego komitecie redakcyjnym. Nazwisko Suleckiego i jego adres domowy pojawiły się już w stopce redakcyjnej drugiego numeru „Robotnika”. Sulecki dostarczał redakcji informacje i gotowe tematy, odwołując się głównie do konkretnych przykładów z kopalni, w której pracował. Dzięki temu na łamach „Robotnika” pisano o warunkach socjalnych załogi KWK „Gliwice”, organizacji pracy oraz wszelkiego rodzaju występujących tam nadużyciach i nieprawidłowościach. W lutym 1978 r. z inicjatywy Kazimierza Świtonia założył wraz z nim oraz Romanem Kściuczkiem, Ignacym Pinesem i Tadeuszem Kickim Komitet Pracowniczy WZZ. Wywołało to kolejne represje: szykanowanie w pracy, zatrzymania, pobicia, a także psychiczne gnębienie przez funkcjonariuszy SB żony i trzech córek. Po długotrwałych i wielostronnych naciskach ze strony bezpieki 4 marca 1979 r. wyemigrował wraz z rodziną do RFN.

Jarosław Neja

mu do ust, zażądałem też prokuratora i wyjaśnienia, na jakiej podstawie mnie zamknęto. Brakowało mi jeszcze ośmiu godzin do czterdziestu ośmiu, jak wszedł kapitan z chlebem „służbowym”, który mu zrobiła żona, z kawą pod pachą i spytał mnie, czy nie jestem głodny, czy mam papierosy. Nagle stwierdził:

– Jak wy przejmiecie władzę, to też nas będziecie potrzebowali. Ja bym pana już zwolnił, ale nie mogę, bo nie ja pana aresztowałem, tylko ci cywile, co pana przywieźli. Ale ja bym panu coś poradził – kontynuował. – Jak pana wypuszczą, niech pan nie idzie więcej do Cygana, bo pan wie, że mogą pana do lasu wywieźć, gnaty połamać, a zdrowia panu nikt nie zwróci... A jak pan robi – spojrział na mnie – to już pańska sprawa.

Wróciłem do domu, a tam już czekali i znów mnie zabrali na milicję, też na dwie doby. Wodzisław mnie puścił, a Gliwice zamknęły. I urągali mi tam, że się za innych nadstawiam i tym podobne.

Jeszcze na krótko przed wyjazdem, dwudziestego piątego stycznia w siedemdziesiątym dziewiątym, zabrali mnie na czterdzieści osiem godzin. Kiedy czas aresztu dobiegał końca, weszło do celi pięciu milicjantów z pałami, szósty z dużym pękiem kluczy, wszyscy wysocy – co najmniej metr osiemdziesiąt, stanęli wokół mnie i prowokowali, cela była otwarta, wszędzie drzwi pootwierane, bo słyszałem szum z zewnątrz i bieganie po schodach i telefonowanie. Coś tu niewyraźnego jest – pomyślałem. A ci dalej naśmiewali się ze mnie. Trwało to nieznośnie długo.

Nagle usłyszałem z telefonu, przeznaczanego dla rozmów z aresztowanymi podczas widzeń, że ktoś

powiedział: „Nie wolno go ruszyć! I czekać na meldunek!”. Wkrótce potem zobaczyłem porucznika, który wszedł do naszego pomieszczenia i powiedział coś temu z kluczami, zaraz potem milicjanci wyszli z celi, mnie ponownie zamknięto na klucz, a po sześciu godzinach puszczono.

Tata, podpisz te papiery...

– Czy tu był ktoś z milicji? – zapytałem po powrocie do domu córkę.

– Był pan Ryszkiewicz i pytał mamę – usłyszałem w odpowiedzi – czy tata złożył już wniosek na wyjazd. Mama powiedziała, że tak.

To chyba zdecydowało, że mnie tam znów nie skatowano. Rzeczywiście, podpisałem w końcu te papiery wyjazdowe, nie widziałem już innego wyjścia...

Pewnego razu po tym, jak córkę najstarszą wywalili z ogólniaka, poszła ona do urzędu zatrudnienia, a urzędniczka, usłyszawszy nazwisko Sulecka, zaraz stwierdziła, że jakoś jej jest ono znane.

– Niech pani wyjdzie na chwilę na korytarz i tam zaczeka – poleciła. Chwila trwała około pół godziny, potem ją zawołała i powiedziała: – Nie ma u nas pracy dla pani.

Kiedyś umęczona szykanami średnia córka, Dorota, przyszła do mnie i prosiła:

– Tata, podpisz te papiery na wyjazd, bo już mam dość. Dom obstawiony dzień i noc. To nie jest życie.

Pomyślałem wtedy, że i tak, i tak jestem spalony. Moja działalność już była na nic. Postanowiłem podpisać wniosek o paszport, ale chciałem początkowo tylko odwiedzić rodzinę do tego „złotego raj”, po czym wrócić. A tu wyszło całkiem inaczej; nie dostałem paszportu, tylko dokument podróży, czyli że nie mogłem wrócić do Polski. To był wilczy bilet!

Osaczeni ze wszystkich stron wyjeżdżaliśmy czwartego marca siedemdziesiątego dwudziątego roku. Opuszczaliśmy kraj. Około półtora tysiąca książek musiałem wywalić. Wróciwszy z Warszawy, jeszcze chciałem zwlekać, tymczasem musieliśmy już klucze do mieszkania zdać w prezydium urzędu miasta.

W przedziale pociągu do Niemiec byli z nami między innymi: Andrzej Spyra, Leopold G., szwagier B.; drugi szwagier, Józek K., czyli czterech mnie odprowadzało. A wkoło pełno esbeków. Tu stało sześciu, tam sześciu – oczy jak górnicy z takimi czarnymi obwódkami – niby na giełdę za Poznań jechali, natomiast koło przedziału trzy panie – też rzekomo na tę giełdę jechały. Nie wiem, co chcieli zrobić, może z pociągu wyrzucić, nie wiem...

Trzy dni później jeden z tych esbeków pytał w Gliwicach szwagra, czy Sulecki pojechał. Pół roku potem przyjechał jeszcze ktoś samochodem z Warszawy i dopytywał się sąsiadów: „A gdzie jest ten, co mu okna malowali?”. Jak się dowiedział, że wyjechałem, to stwierdził: „No, to spokój teraz macie. Dziękuję” – powiedział i pojechał.

Jesteśmy już w „złotym raj”, przed oczyma przewijają się obrazy minionego czasu... Szukam odpowiedzi czemu...

Ale z drugiej strony przypominam sobie przypadki, gdy pomagali mi ludzie, czasem zupełnie nieoczekiwanie. Kiedyś, na krótko już przed opuszczeniem Polski, chciałem pojechać do Warszawy. Żeby uczynić to niepostrzeżenie, bo wciąż aresztowali i bili, poszedłem w nocy pieszo z Gliwic na Sośnicę, prawie dziesięć kilometrów, dookoła miasta, osiem kilometrów, i na Zabrze – ulicą. Była już mniej więcej trzecia trzydzieści, gdy zobaczyłem taksówkę, zatrzymała się, powiedziałem, że chcę jechać do Sosnowca. Kierowca pytał mnie po drodze, skąd jestem. Powiedziałem, że z Gliwic, ale więcej nie chciałem mówić, bo podejrzewałem, że to na pewno jakiś esbek, toteż jak mnie pytał, czy nie słyszałem tam o takim

Suleckim, o którym Wolna Europa tyle mówi, udałem, że nic nie wiem. A on mówił dalej, że to taki jeden odważny na Śląsku. I opowiadał mi moją historię. „Ale mnie naciąga” – myślałem. Tak dojechaliśmy do Sosnowca i jak trzeba było już płacić – kurs kosztował około trzystu złotych – wyciągnąłem czterysta i razem z pieniędzmi, które miałem w książeczce związków zawodowych (tylko ten dokument mi jeszcze został, inne: dowód osobisty i książeczkę wojskową musiałem oddać w związku z wnioskiem o wyjazd do NRF), jakoś tak niezręcznie podałem taksówkarzowi, że zobaczył moje nazwisko.

– To pan jest Sulecki!? – zdziwił się kompletnie zaskoczony. Ucieszył się bardzo i odmówił przyjęcia pieniędzy. Z miejsca też zaoferował pomoc w wyjeździe z miasta, wziął moją teczkę, schował ją pod sweter, szedł przede mną na dworzec, żeby sprawdzić, czy tam nie ma milicji, a gdy stwierdził, że wszystko w porządku, dał mi znak. I tak wyprawił mnie do stolicy człowiek, którego podejrzewałem o współpracę z esbecją.

W Niemczech też bywało różnie. Już w latach osiemdziesiątych, w czasie stanu wojennego w kraju, stałem przed polskim kościołem na Evingu w Dortmundzie. Było po mszy i chciałem sprzedać parę egzemplarzy „Dziennika Polskiego” i „Tygodnia Polskiego” z Londynu. Jedni wyśmiewali mnie, że dwie marki to za drogo, drudzy, że to opium dla ludu, trzeci, że jest tyle gazet poza zasięgiem cenzury, że nie trzeba kupować tych moich. Stałem, wysłuchiwałem tego wyśmiewania się, było mi w znany sposób nieprzyjemnie. W kłapie marynarki miałem wpięty znaczek „Solidarność”. Podeszedł wtedy jakiś młody człowiek i wskazując na znaczek, powiedział:

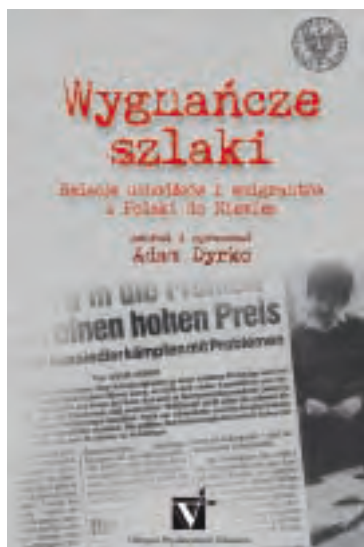
– Zdejmij ten znaczek, te swastykę, bo cie do Polski nie puszczone!

W chwilę później zbliżył się jakiś starszy człowiek, który to widział, i rzekł:

– Panie, to są psułaty ze „Zgody”². Pan się nie odzywaj najlepiej, bo pana jeszcze gdzieś napadną i mogą pobić.

(1984)

Oprac. Adam Dyrko



Wspomnienie pochodzi z książki *Wygnańcze szlaki. Relacje uchodźców i emigrantów z Polski do Niemiec*, zebrał i opracował Adam Dyrko, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2007, s. 97–113.

² Związek Polaków „Zgoda” w Republice Federalnej Niemiec, stowarzyszenie o nastawieniu wspierającym władze PRL.